

LEGENDA O LĘBORSKICH MURACH

Lębork nad Łebą rozłożył się pięknie, puszczyć ma pod ręką, położenie jak marzenie, mówią sami lęborzanie i ja podzielałam ich zdanie. Kto chce, może łowić ryby, kto chce, ten może pójść na

grzyby, wszelakie wygody dla starych i młodych są zapewnione, a komu niedobrze, może udać się nad morze i przesypywać piasek na wydmach albo jak śledzie moczyć się w słonej wodzie.

Nie zawadzi zauważyć, że Lębork jest jednym z niewielu miast na Pomorzu, w którym mury obronne zostały nad wyraz dobrze zachowane. Potężne otoczaki mają w fundamentach, cegła wyżej licem świeci, na 6-10 metrów wysokie, robią wrażenie niesamowite, solidna robota, nie byle jaka partanina, gołym okiem jak na dłoni widać, iż prętem chełmińskim należycie wymierzone, starczy jedno spojrzenie i można oniemieć.

Nie myślcie jednak, że tylko mury obronne są w Lęborku. Jest – a jakże! – zamek krzyżacki, w którym sąd zakotwiczył. Oko turysty urzeka w stylu neogotyckim malowniczy ratusz, że tylko piąć z zachwyty, nawet neogotycka poczta po wyremontowaniu wygląda niczym pałac, a wszystkie są godne na opowieść osobną. Do tego jeszcze żaby w fontannie siedzą i cały dzień wodę leją, toteż urzędnicy mogą odpocząć.

Wracajmy jednakże do murów obronnych, którym bliżej warto się przyjrzeć. Dziwicie się zapewne, dlaczego tak świetnie

się zachowały, choć przecież liczne wojska wielokrotnie nacierają? Mało kto dzisiaj wie o tej tajemniczej sprawie, o której zaraz opowiem, bo one nie były wzniesione do obrony przed wrogimi wojskami, choć i takie w historii Lęborka się zdarzały, ale chronić miały przed potworem, który w zamierzchłych czasach w Jeziorze Lubowidzkim zamieszkał i ludność okoliczną nękał okropnie, aż przechodzą mnie dreszcze na samo wspomnienie. Szczególnie wypadki wieczorne na Lęborku sobie upodobał i w lęborskich dziewicach gustował, których konsumpcję na rynku czynił. Trzeba dodać, że potwór ów stokroć gorszy był od smoka wawelskiego, choć budowy rzekomo podobnej.

Skąd wziął się w jeziorze? Tutaj zdania są mocno podzielone, co u nas zdaje się normalne, ale najbardziej prawdopodobne jest, że gadzina wylęgła się z ogromnego jaja, które na dnie jeziora od wieków spoczywało, dopóki zarodek nie miał warunków do rozwoju. Słońce w upalne dni jajo rozgrzało i stało się, jak się stało, a stało się wszakże bardzo niedobrze.

Lubowikiem go powszechnie zwano, nawet wdzięcznie, ale z tym lubieniem nieszczególnie było. Chyba żeby o lubienie dziewczyc chodziło, to i owszem, przyznać trzeba, iż stwor konsumował je z wielkim apetytem, rósł w oczach i nocą jak hiena chichotał, co jeszcze większą budziło trwogę. Nie można było liczyć, że przy braku dziewczyc gad zdechnie, gdyż jak dziewczycy czasem zabrakło, innym homo sapiens nie pogardził. Horror! Nie można było z bestią poradzić. Posiadany wówczas oręż jedynie łaskotał stwora. Nie pomagały straże. Nocą do miasta się zakradał i dziewczice podbierał sprytnie.

Trwoga mieszkańcom zajrzała w oczy i rosła z dnia na dzień jak ciasto drożdżowe. Nie było innej rady, jak wysokimi murami

miasto otoczyć i wznieść na wzgórzu Czartoryja wieżę wysoką, aby gada mieć stale na oku.

Potem, jak pewnie wiecie, wieża została przerobiona na wodociągową, a teraz znów można z niej popatrzeć, ale jedynie dla przyjemności.

Po wzniesieniu murów zdawało się wreszcie, że spokój nareszcie zawitał do Lęborka. Ale gdzie tam! Wpierw radość w mieście ogromna zapanowała. Tańcom i festynom nie było końca do zachodu słońca, a po zachodzie dramat.

Potworowi mury na dziesięć metrów wysokie nie były żadną przeszkodą. Przełaził przez nie jak łobuziak do sadu. Mieszkańcy załamywali ręce, tyle roboty poszło na marne. Panika ogarnęła wszystkich, zaczęli nawet miasto opuszczać potajemnie.

Lębork był bliski wymarcia, a właściwie wyczyszczenia z mieszkańców. Takie fajne miasto, żeby było bez mieszkańców, po prostu rozpacz!

Wtedy młodzieniec, co w krzyżackich lochach siedział lat kilka za to, że wójtowi miecz ze złotą głownią ukradł, straży oznajmił, iż on Lębork od potwora uwolni, jeżeli uzyska wolność. Nie było lepszego pomysłu, więc wójt, choć nie bez oporu, przystał. Młodzian wrychtował kukłę i na środku rynku w stroju kaszubskim ją usadził, co jak żywa dziewczucha wyglądała. Obwiesił kukłę gęsto sznurami koralu zrobionych z owoców wawrzynka wilczelyko i takież przysmak na środku rynku na noc pozostawił.

Lubowik, ledwo zmierzch zapadł, przez mur obronny do miasta się wdrapał, zobaczył na rynku apetyczną dziewczę, mlaśnął ozorem i łyknął smakowity kąsek. Apetyt miał na więcej, ale

coś ścisnęło go w żołądku, więc nad jezioro udał się prędko i wodę długo chleptał, a rano radość niesamowita, potwór leżał do góry brzuchem i nie dychał. Leżał tak w słońcu, aż nieprzyjemnie zaczął pachnieć. Trzeba było go pilnie zakopać. Dziesięciu chłopów dzień cały dół kopało, drugie tyle kłonicami gada spychało, ale szczęśliwie się udało.

Lębork wreszcie mógł odetchnąć!

Nam natomiast z tego zdarzenia mury obronne pozostały do podziwiania.

Legenda o złym Raakkulu czyli... skąd wziął się torf w Krakulicach

Jesienią A.D. 2023 krakulickie łąki zamieniły się w jezioro. Śnieg, którego nadspodziewanie intensywne opady nawiedziły cały kraj, pod wpływem odwilży szybko zamienił się w masy wody, która wezbrała wiele rzek, a także doprowadziła do lokalnych podtopień. Przeciwpowodziowy wał na rzece Łebie między Wickiem a Cecenowem został przerwany, a woda rozlała się szeroko na okoliczne polidery, nie wyrządzając jednak szkód lokalnym mieszkańcom.

Woda na łąkach stała, a jej poziom miał spadać tylko wzrastał pod wpływem deszczu padającego nieprzerwanie przez tydzień. Mieszkańcy Krakulic, których domy leżały nad samymi łąkami, czujnie obserwowali rozwój sytuacji lekko przestraszeni, ale i zachwyceni ogromną taflą wody, która teraz rozpościerała się tuż za ich płotami, odbijając przestwór nieba pełen szarych, a wieczorami rudych chmur. Ich zachwyt stał się jeszcze większy, kiedy nad nowopowstałe jezioro zaczęły tłumnie zlatywać z całych chyba Kaszub zwiedzione zapachem wody łabędzie. Okolica wypełniła się ich jazgotem, trzopotem skrzydeł i pluskaniem, a mała pomorska osada zaczęła w grudniu przypominać wakacyjny kurort niespodziewanie najechany przez niefrasobliwych i czujących się zupełnie jak u siebie w domu skrzydlatych turystów.

Maja, Lara i Etna mieszkają w Krakulicach od niedawna. Cała okolica napawała je nieustającym zachwytem właściwym dla nowoprzybyłych, dla których zwykła leśna droga tchnie tajemnicą, a każdy zagajnik czy nawet kępa krzaków jawią się magiczną krainą z baśni. Nic dziwnego, że stawały teraz z rozdziawionymi ustami patrząc, jak całe klany bocianów nawołują się i kłócą to nad ich głowami, to znów na jeziorze tuż przed ich domem. Widoki zalanych łąk były jednak niespotykanym wydarzeniem również dla najstarszych autochtonów.

- Nie bywało tak nigdy za mojego życia – stwierdził pan Franciszek, sąsiad dziewczynek, który przez częste odwiedziny stał się dla nich kimś w rodzaju przyszywanego dziadka. – Odkąd żyję, takiej wody nie było. Ja nie pamiętam, ale moi rodzice... oni mi opowiadali. Kiedyś tu było jezioro, po którym pływały statki..

- Statki?! Tutaj?! Opowiedz! – krzyknęły równocześnie Maja i Lara.

- Jest taka legenda... Przecież już wam ją opowiadałem.

- Nie szkodzi, chcemy raz jeszcze! – zawołała Lara, która jak i inne dzieci lubiła słyszeć ciekawe historie wielokrotnie. Dziewczynki, których fantazja od czasu przeprowadzki z miasta pracowała na najwyższych obrotach, wprost spijały wszelkie okoliczne historie, które tylko udało im się usłyszeć. Każda z nich, czy prawdziwa czy nie, wzbogacała uniwersum tego nowego miejsca, w którym przyszło im żyć. Nic dziwnego, że chciały usłyszeć legendę jeszcze raz. Tym bardziej że dzisiejszego wieczora tata i mama pozwolili im spędzić noc w świeżo wyremontowanym domku turystycznym, który był częścią ich gospodarstwa. Ogień w kominku dawał przyjemne ciepło i błyskał na podłogę magicznym światłem – idealne warunki do słuchania opowieści przed snem.

- Więc było to tak – zaczął pan Franciszek, zapalając fajkę, jak zwykł to czynić, gdy zapowiadało się na dłuższą gościnę. Mężczyzna rozparł się wygodnie w fotelu, nogi wyciągnął w stronę ognia i w ten sam ogień utkwiał wzrok, jakby właśnie tam, niczym w pradawnym telewizorze rozgrywać się miała opowiadana historia. Po czym kontynuował:

Działo się to dawno. Bardzo dawno temu. Prawdopodobnie tyle lat temu ile jest ziaren piasku na wielkiej wydmy Łackiej w Rabce. Zresztą, dość powiedzieć, że wydmy tej w tych czasach jeszcze nie

było. Jezioro Łebsko było wtenczas wielką zatoką morską i woda była w nim słona. Cały okoliczny teren porastał nieprzenikniony bór, w którym z rzadka można było napotkać osady ludzkie, częściej za to wilcze stada, niedźwiedzie, a także wszelkiej maści bagienne istoty i mityczne potwory. Jednym z nich był wspaniały Żar-Ptak, ogromny łabędź o piórach ze złota, którego trzepot skrzydeł krzesał iskry, a wściekły syk napawał śmiertelnym przerażeniem największych śmiałków. Bała się go okoliczna ludność rybacka, toteż zatoka mimo dostatku ryb była miejscem słabo zaludnionym oddanym w rządy bocianom, czaplom i żurawiom, których Żar-Ptak był królem. Trwało to tak przez wieki i pewnie trwałoby dłużej, gdyby pewnego dnia na wody zatoki łebskiej nie wpłynął pewien wikiński statek....

- Jak on wyglądał?! – zawołała nagle Etna, wyrrywając dziadka chwilowo z odrętwienia, w które ten zapadł wpatrzony w ogień. Mężczyzna uniósł wzrok.

- Statek?

- Tak, statek! Jak on wyglądał?! Czy miał dużo żagli? Czy miał wiosła? – Etna najwyraźniej nie mogła słuchać dalej, dopóki nie ujrzy statku w całej okazałości.

- No więc... - pan Franciszek poprawił się na siedzeniu i jeszcze raz utkwiał wzrok w strzelającym na kominku ogniu. Po czym kontynuował:

Drakkar – bo tak nazywają się łodzie wikingów -nie był wielkim statkiem. Miał tylko kilkanaście metrów długości i tylko jeden żagiel. Był jednak niezwykle piękny. Jego dziób i rufa zdobne były rzeźbami skrzydlatych potworów, burty obwieszane okrągłymi kolorowymi nabijanymi metalem tarczami wojowników-marynarzy, bo tym właśnie byli wikingowie –jednym i drugim jednocześnie. Żagiel był cudownie tkany w żółte i niebieskie pasy, a w jego centrum widniał wizerunek smoka – wielkiego skrzydatego lwa zionącego ogniem. Nic dziwnego, że okręt był taki piękny. Należał bowiem do księcia wyspy Burgund-hor, leżącej o dwa dni żeglugi morskiej stąd. Książę miał na imię Raakkul, a na wody zatoki Żar-Ptaka (było to pewnie gdzieś w pobliżu dzisiejszej wsi Żarnowska) przywiodło go... wygnanie. - Wygnanie? Jak to? Przecież był księciem! – Lara nie mogła najwyraźniej doczekać się wyjaśnienia tej zagadki.

Raakkul został wygnany – kontynuował pan Franciszek, a żar w jego fajce hipnotyzował wzrok zastuchanych dziewcząt. – Został wygnany przez swojego młodszego brata po śmierci ojca, króla wyspy Burgund-hor. Ojciec przed śmiercią wbrew tradycji przekazał tron młodszemu synowi, na co dwa lata starszy Raakkul, co zrozumiałe, nie chciał się zgodzić. Tak to niestety jest z królewskimi braćmi... Starszy syn zbuntował się, rozpętał wojnę, którą niestety sromotnie przegrał. Musiał opuścić bogatą wyspę z garstką pozostałych mu, wiernych wojów. Był jednak człowiekiem ambitnym, mściwym i... nieustraszoną, a młodzieńczą porażkę postanowił przekuć w... dojrzałą zemstę. Poprzysiągł sobie, że w kraju, do którego dotrze, zbuduje zamek potężniejszy niż cokolwiek człowiek mógł zbudować na ziemi, a z jego wież widać będzie utraconą wyspę. Kiedy to nastąpi, ruszy na podbój swojego dawnego domu, a potem pewnie i świata.

Taaak... Raakkul chciał podbić cały świat. Któryż młody władca o tym nie marzy? Być wielkim zdobywcą, wślawić się w walce, władać wszelkim ciałem i zostawić po sobie imię, którym zwać będą się miasta, narody i kraje. Raakkulowi częściowo się to udało! I to za sprawą Żar-Ptaka!

- Żar-Ptaka? Jak to? – zawołała Maja, która aż dotąd słuchała w ciszy i skupieniu.

- Nikt nie wie, jak to się stało, choć próbował tego wcześniej niejedyn śmiałek, ale Raakkulowi udało się zniewolić króla łabędzi!

- Zniewolić? Wielkiego łabędzia? Ale jak to możliwe?! – nie mogła nadziwić się Maja.

- Zniewolić. – powtórzył starszy mężczyzna. – Książęta potrafią zniewolić, mają to w swojej naturze. – głos dziadka zabrzmiał tutaj smutno, jak gdyby słowa te obudziły w nim jakieś osobiste wspomnienie. Jego albo może... jego dziadków. Jednak kontynuował:

- Trudno powiedzieć, jak wyglądała walka człowieka z ptakiem. Jakimi diabelskim sztuczkami posłużył się wiking? Czy były to czary, czy nadludzka zręczność? Jedno jest faktem – po spotkaniu z Raakkulem i jego kompanią wielki wspaniały Żar-Ptak nie był już królem łabędzi! Był... wściekłym psem na łańcuchu swego pana! Wspaniałym złocistym trofeum w ręku okrutnego młodzieńca, całkowicie posłusznym jego niepohamowanej woli, zdolnym krzesać ogień i zabijać samym dźwiękiem swego dzioba na każde jego skinienie!

- Aaaa – mała Etna wydała na swoim łóżku cichy okrzyk przerażenia, po czym wtuliła się w ramiona starszej siostry.

- Cicho, nie krzycz, to tylko legenda – uspakajała ją Lara, choć zabrzmiała przy tym dosyć niepewnie. Raakkul ruszył na podbój – ciągnął opowieść dziadek. – Pierwszymi ofiarami stali się okoliczni wieśniacy. Raakkul zburzył ich drewniane chałupy, by zrobić z nich fundament pod swój wymarzony pałac. Tego oczywiście było bardzo mało. Korzystając ze straszliwych mocy swego skrzydlatego niewolnika, podbił lokalne nieliczne grody, które do szczętu rozebrał – wszystko po to aby zdobyć budulec potrzebny do realizacji swojego projektu – budowy największego drewnianego zamku świata! Jednak i tego było wciąż mało. Zaczął więc Raakkul wycinać okoliczne prastare puszcze. Wycinał na potęgę tak, że niedługo w miejscu nieprzebranych borów straszły ogromne połacie sterczących kikutów drzew, na których pożywiać mogły się już tylko czarne kruki i gawrony. Inne zwierzęta bowiem pouciekały lub zostały zjedzone przez budowniczych zamku. Ten zaś rósł w oczach z dnia na dzień. Miał już kilkanaście pięter, a w czasach budowy z drewna (murarki wszak wówczas nie znano) był to wynik całkiem imponujący. Wielka była też wieża zamku. Rosta wyżej i wyżej aż do samego nieba i tylko Raakkul wbiegał co chwilę wyżej i wyżej by sprawdzić, czy z góry widać już wyspę znienawidzonego brata. Wtedy bowiem miał zacząć się jego podbój świata.

- A Żar-Ptak? Co on wtedy robił? – spytała nagle Etna. – Czy on też budował?

- Żar-Ptak nie budował – westchnął pan Franciszek ciężko. – Żar-Ptak był nadzorcą. Siedział przykuty złotym łańcuchem do jednej z pomniejszych wież i poganiał armię niewolników. Bo oczywiście niewolnikami stali się wszyscy okoliczni mieszkańcy krainy. Ludzie, którzy kiedyś wiedli w miarę spokojne życie w zgodzie z przyrodą, musieli ją teraz niszczyć na swą własną zgubę. Praca była nieludzko ciężka, wytchnienia darmo było szukać, zamek miał powstać szybko i jeśli nie ciosy bata Raakkula to iskry spod skrzydeł Żar-Ptaka spadały tylko raz po raz na karki wychudzonych robotników. Byli oni teraz już tylko cieniem swych dawniejszych postaci... Ech... - dziadek westchnął ciężko i Maja zauważyła, że znów brzmi, jakby opowiadał nie legendę, lecz jakąś własną historię podszytą osobistym bólem...

- Wyżej nad wieżę sięgały tylko modlitwy – mówił dalej dziadek. – Modlitwy udręczonej ludności, która za ambicje szalonego księcia płaciła własną krwią i cierpieniem. Modlitw tych było tak wiele, że w końcu dotarły do nieba. Do nieba, a przynajmniej na tyle blisko ile było trzeba osiągnąć w końcu również budowana wieża.

Pewnego dnia Raakkul, kontrolując postępy budowy, nie zbiegł po schodach, jak to robił zawsze do tej pory, gdy wieża wciąż była za niska. Wtedy normalnie zbiegał pełen furii i ciskał na wszystkie strony pioruny swojego gniewu, w czym wtórował mu ognisty ptak, sycząc okrutnie na wszystkie strony, od

czego wycieńczeni ludzie ginęli ze strachu lub głuchli całkowicie. Tego dnia Raakkul nie zbiegał dłuższą chwilę. Przerażeni budowniczy spoglądali w górę, spodziewając się zwykłego wybuchu gniewu, ale ten nie nadchodził. Zamiast niego dało się słyszeć przeraźliwy i chyba jeszcze bardziej złowieszczy śmiech! Śmiech, albo raczej rechot, bo trudno nazwać śmiechem, coś co przynosi śmierć. Coś co zwiastuje pogrom i pożogę jeszcze większą niż dotychczas. Wieża była gotowa! Raakkul dokończył budowę!

- I co teraz będzie? – cicho spytała Lara. Dziadek spojrział na nią ze smutkiem, po czym wrócił do opowiadania.

Raakkul tryumfował! Na kilometry od zamku słychać było ten śmiech. Niósł się jak długi cień podczas zachodu słońca, dalej i dalej, pogrążając w mroku bliską i dalszą okolicę. Zupełnie jak cień ukończonej monstrualnej budowli, która zabrała słońce i życie tętniącej nim niegdyś krainy. Raakkul zaczynał swój podbój świata i nic go nie mogło powstrzymać.

Dziadek nagle zamilkł. Spojrział na fajkę, w której żar dawno już wygasł, czego wcześniej nie zauważył, po czym wstał i podszedł do stosu drewna pod ścianą. Ogień w kominku przygasiał i najwyraźniej trzeba było dorzucić. Jednak zamiast po polano, mężczyzna sięgnął gdzieś obok.

- Zamek Raakkula – zachrypiał, biorąc do ręki kawałek brunatnego brykietu, którego trochę leżało obok drewna. – To jest zamek Raakkula – powiedział teraz wyraźnie, pokazując przedmiot zastuchanym dzieciom. Ich miny wykazywały niezrozumienie, choć wszystko powinno być jasne, słyszały przecież tą legendę już wcześniej.

- Tego dnia Raakkul ruszył na swój podbój świata – kontynuował dziadek. – Ale jak już mówiłem, oprócz niebosiężnej wieży, do nieba dotarły również żale uciemionych przez człowieka i ptaka ludzi. Niebo najwyraźniej nie mogło już patrzeć na krzywdę i postanowiło zakpić z okrutnika. Zwabiło go w pułapkę. Łudząc brakiem chmur i księżycem w pełni, zachęciło wikinga do ruszenia w morze jeszcze tej samej nocy. Raakkul naprędce zwołał swoje wojsko i w siedem drakkarów – tak, tak, jego siły rozrosły się znacznie – wypłynął w morze.

Do wyspy jednak nigdy nie dopłynął. W noc, w którą opuścił swą posępną siedzibę, zatrzęsa się ziemia w głębinach morskich. Wielka fala tsunami ruszyła naprzeciw nikczemnika, niwecząc jego krwawy plan i dzieło życia. Potężny zamek Raakkulice – bo tak potocznie go zwano – runął z hukiem od uderzenia fali morskiej. Jego masywne zgliszcza szybko zniknęły pod mułem naniesionym przez wodę, która wdarła się daleko w głąb lądu. Ludziom udało się przeżyć, gdyż większość z nich uciekła, gdy tylko flota Raakkula odbiła od zamkowego pomostu. Jednak ich świat pozostał zmieniony na zawsze.

- Jak się zmienił? – ziewnęła Lara.

- W miejscu dawnego gęstego boru dzisiaj hula wiatr i zlatują się żurawie, jest to bowiem Wielkie Bagno Krakulickie, nad którym mieszkacie. Natomiast w miejscu zamku Raakkula dziś wydobywa się... torf, bo w to właśnie po wiekach zmieniły się zgliszcza budowli – tutaj dziadek jeszcze raz pokazał dziewczynom wciąż trzymany w rękach kawałek brykietu, po czym wrzucił go do kominka. – Torf stał się skarbem tej ziemi i pomógł wielu ludziom przetrwać siarczyste zimy. Do dziś działa tu jego kopalnia i ludzie żyją z jego wydobycia. Kto by pomyślał...? – mężczyzna mówił już w większości do samego siebie, gdyż od strony antresoli, na której leżały dziewczynki, dochodził już tylko miarowy oddech.

-A z Raakkulem? Co się z nim stało? – jednak nie wszystkie dzieci spały. – Czy on też zginął w morzu?

A złoty łabędź? Czy on się uratował? – najmłodsza Etna najwyraźniej nie była wcale senna.

- Raakkul odpłynął i... nigdy nigdzie nie dotarł. Łabędź ponoć odfrunął, zerwawszy się z łańcucha, lecz słuch o nich obu zaginął. Legenda jednak głosi...

- Co głosi? – niecierpliwiła się mała.

- Głosi, że wraca tu w swoim drakkarze i szuka swojego zamku. Kiedy woda wylewa i można po łące znów pływać, a w okolicy pojawiają się łabędzie, pojawia się także i on – zły, krwawy i nieszczęsny zdobywca. Pływa i szuka swojego utraconego marzenia i ptaka, który mu znów pomoże je zrealizować... Oby go nigdy nie znalazł!

Dziadek spojrzął w stronę dziewczynki, po czym uśmiechnął się delikatnie. –Późno już. Na mnie już czas. Dobranoc. –rzucił, po czym ciężko wstał z fotela, zarzucił kapotę na grzbiet i mrucząc coś pod nosem, wyszedł z domku w noc.

W pokoju nastała cisza. Słychać było tylko płomień, który po dorzuceniu brykietu na nowo rozbrykał się w kominku.

- To pali się zamek Raakkula. – wyszeptała Etna. Po czym odwróciła się w stronę Lary. Obie starsze siostry spały jednak w najlepsze. – Chciałabym zobaczyć tego łabędzia. I ten statek... – szeptała do siebie samej, patrząc zmęczonymi oczami w sufit. – Bardzo bym chciała... - I nagle..., gdy powieki dziewczynki zamknęły się wreszcie, wydało jej się, że coś słyszy. Jakieś nawoływania. W obcym, nieznanym języku. Dochodziły jakby przez mgłę i towarzyszyły im chlupot... Chlupot niewielkich fal odbijających się od burty drakkaru. I chlupot wioseł nurzających się miarowo w wodzie. Na dziobie ktoś stał i wołał do wioślarzy, a oni mu odkrzykiwali. Wielki, wspaniały drakkar, przepływał właśnie obok domku wśród wieczornych mgieł. W oddali zawołał gdzieś łabędź. Ale to nie ten. Nie ten którego szukają. Niech więc płyną go szukać gdzieś indziej, gdzieś dalej. Jak najdalej. Jak najdalej stąd...

Ether Lothbrock

Wadera

16-DOROSLI

Legenda o Jakubie, srebrzystej panience i zaklętym mieście.

Prawdę mówiąc, Jakub nie lubił polować. Szczególnie jesienią, kiedy gęsta mgła spowijała las, a suche liście zdradzały każdy jego krok. Był już zmęczony i rozkojarzony. Chciał wrócić do domu i do swojej kuźni, miejsca, w którym czuł się bezpiecznie.

- Sakra – mruknął – ostatni raz dałem się na to namówić.

Od kilku dni tropili zwierzyne, ale Jakubowi wyjątkowo nie szło. Teraz jak na złość, odłączył się od grupy i stracił swoich kompanów z pola widzenia. Nigdzie ich nie widział, a od dłuższego czasu nawet nie słyszał. Nie ludził się, że pozostali go szukają. Ostatnie promienie słońca muskały jego twarz, powietrze stawało się coraz ostrzejsze. Nie chciał się dłużej oszukiwać, postanowił znaleźć odpowiednie miejsce na przeczekanie nocy. Lepiej zrobić legowisko, póki jest jeszcze chociaż trochę widno.

Zaczął iść na północ, może udałoby mu się znaleźć polanę i tam zbudować szałas? Miał przy sobie skromny zapas jedzenia, trochę wody i łuk. Popatrzył w niebo, nie zanosilo się na deszcz. Będzie zimno, ale chociaż sucho pomyślał. Po jakimś czasie dotarł do polanki. Słońce chyliło się ku zachodowi. Najpierw pozbierał chrust na ognisko, liście i gałęzie na szałas. Pochylił się, by ułożyć kamienie w kręgu. Nagle usłyszał szelest. Wyczuł, że nie jest sam. Pomału zaczął się podnosić i ujrzał przed sobą łanię. Miała piękną, srebrną sierść, jedyne co się wyróżniało to duże, czarne jak węgiel żrenice.

- Co jest...? – wyszeptał zdziwiony

Zwierzę nie było spłoszone, co więcej patrzyło mu prosto w oczy. Zastanawiał się, czy powinien do niej strzelić. Sarna była przepiękna i dla niejednego kuśnierza byłaby cennym okazem. Niby słyszał wcześniej różne historie o magicznych stworzeniach, które zamieszkiwały tutejsze lasy, ale po prawdzie nigdy nie dawał im wiary. Opowiadali je zazwyczaj pijani miodem, starzy myśliwi. Byli wtedy gdzieś na pograniczu upojenia, a bajek szeptanych dzieciom przed snem. Jak miał im wierzyć w te złote jelenie czy miedziane lisy? Czuł jednak, że sytuacja, w której się właśnie znalazł nie śni mu się, wtedy a co więcej dzieje się rzeczywiście, tu i teraz.

Póki co stali z łanią oko w oko, w bezruchu i ciszy. Bał się zrobić krok do przodu, by jej nie wystraszyć. Wtem trzask liści wyrwał ich z impasu. Sarna ruszyła pierwsza. Jakub dyskretnie podniósł z ziemi łuk i pogonił za nią. Zwierzę nie biegło szybko, ale myśliwy nie

Wadera

mógł jej dogonić. Gdy tylko miał wrażenie, że jest już w stanie ją pochwycić, ta jakimś cudem wymykała mu się, uciekając jakby w ostatniej chwili. Pędzili coraz dalej przez mroczny, gęsty las. Jakub nawet nie zauważył, że zmierzch zmienia się w ciemny wieczór. Nagle potknął się o korzeń jednego z drzew. W tym czasie lania przeskoczyła krzewy, znikając mu całkowicie z pola widzenia.

- Cholera... – wstał i otrzepał się – po co mi to było?

Rozejrzał się, nie wiedział gdzie jest. Bezmyślnie zostawił za sobą bezpieczne miejsce na nocleg. Rzucił pod nosem jeszcze kilka przekleństw. Dał się zwabić jak dziecko, a wyjść z głębi lasu nie jest tak łatwo. Dobrze, że miał przy sobie chociaż łuk. Leśną ciszę przełamał szelest liści. Może to sobie jeszcze odbije, pomyślał Jakub. Zaczął się skradać, tym razem nie popełnił błędu. Przeszedł przez krzaki...i oniemiał.

Za chaszczami rozciągała się przepiękna polana. Przede wszystkim nie było po niej widać śladów niszczącej jesieni. Trawa była ciągle zielona, szklili się na niej rosa, rozkwitały białe kwiaty. Barwne ptaki przypatrywały mu się z koron drzew, a w krzewinach śledziły go czujne zające. Pośrodku polany stała lania. Wyglądała jak władca wśród dworzan. Skradał się, by móc się do niej zbliżyć, lecz ona tym razem nie uciekała. Niespodziewanie sarna stanęła na dwóch tylnych nogach i zrzuciła futro. Jego oczom ukazała się przepiękna kobieta.

Była wysoka i szczupła, ubrana w srebrzystą suknię. Na piersi miała zawieszony naszyjnik z ogromnym kamieniem, a na każdym z palców pierścienie z niebieskimi oczkami. Suknia była bogato obszyta kryształkami i koronką, po podłożu szeleściła jedwabna podszewka. Musiała być ciężka, jednak dziewczyna wyglądała w niej delikatnie, zjawiskowo. Na alabastrowej twarzy malowały się wąskie, różowe usta i ogromne szare oczy, twarz okalały długie, białe włosy, głowę zaś zdobił finezyjny diadem. Nie mógł oderwać od niej spojrzenia. Była najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widział. Panienska również mu się przyglądała i łagodnie się uśmiechała.

Wtedy do Jakuba doszło, że znalazł się w tarapatach. To nie była zwykła śmiertelniczka, a on był z nią sam na sam pośród ciemnego lasu. To prośenie się o kłopoty, z takich spotkań nie wychodzi się obronną ręką, pomyślał. Dziewczyna ruszyła w jego kierunku, on jednak zatrzymał ją ruchem ręki.

Wadera

- Co za sztuczki na mnie rzucasz? – spytał półgłosem mężczyzna – Nie zaczarujesz mnie Panienko.

- To nie sztuczki, tylko wspomnienie – odparła Panienska – grodu, który był na tej polance, ale stał się niestety zaklętym miastem, Jakubie. Dzisiejszej nocy możemy ten czar zdjąć, ale potrzebuję do tego Twojej pomocy...

- Akurat mojej? Tak mam Ci po prostu uwierzyć? – spytał podejrzliwie – Trafiłem tu niespodziewanie, w przypadkową noc.

- Jakubie, Wy ludzie się wierzycie w zbiegi okoliczności, my po drugiej stronie jednak wiemy, że przypadki nie istnieją, ale to nie rozmowa na teraz. Potrzebuję Twojej pomocy, bo jeśli tej nocy nie zdejmemy uroku, to wszystko przepadnie – posmutniała Panienska.

Myśliwy zamyślił się. Co, jeśli ta Panienska ma rację? Co ma do stracenia i tak go czeka noc w lesie. Bał się jej, ale może uda mu się zrobić coś dobrego i ocalić tych ludzi? Z reguły postępował spokojnie i zanim podjął decyzję lubił ją na spokojnie przemyśleć. Teraz postąpił jednak impulsywnie i odparł:

- Dobrze Panienkę pomogę Ci, musisz mi tylko to wszystko wytłumaczyć. To mój warunek.

- Jakubie, wytłumaczę Ci wszystko, obiecuję, ale o świcie, teraz czeka nas dużo pracy, a czasu mamy coraz mniej.

Mężczyzna był wprawdzie zmęczony, ale ciekawiło go jakie zadania ma dla niego ta dziewczyna. Ona, jakby słysząc jego myśli, powiedziała:

- Zaczniemy tu – wskazała jeden z boków polanki – wykop mi dół, ogromny i głęboki.

- Panienko, to niemożliwe w jedną noc – zaprotestował.

- Jakubie, musisz mi zaufać. Spójrz przed siebie.

Faktycznie pod jego nogami leżała łopata. Jak mógł ją wcześniej przeoczyć? Była stara i zużyta.

- I to w dodatku tym?

Panienska zmarszczyła brwi i powtórzyła: Jakubie zaufaj mi. Chłopak niechętnie wziął narzędzie do ręki i poszedł pod drzewa. Zaczął kopać i ze zdumieniem odkrył, że łopata wbija się dużo szybciej i dużo głębiej niż normalnie. Łopata była magiczna! Im więcej kopał, tym

Wadera

szybciej szła mu robota. Oczywiście męczył się, ale wiedział już, że rów powstanie lada moment, a praca nie zajmie mu dłużej niż chwil. Gdy skończył, spojrzął na Panienkę.

- Dziękuję, jestem Twoją dłużniczką – powiedziała – po chwili stanęła na krawędzi jeziora. Z jej oczu popłynęły łzy. Były czyste jak kryształ i coraz mocniejszym strumieniem spływały po alabastrowych policzkach. Jakub dostrzegł, że Panienska słabnie i jest bliska omdlenia. Chciał do niej podejść, lecz ona dłonią pokazała mu, by tego nie robił. Spojrzął więc w dół i zobaczył jak napełnia się wodą i stopniowo zamienia się w piękne, czyste jezioro. Srebrzysta opadła na ziemię.

- Wszystko w porządku Jakubie, przed nami jeszcze sporo pracy. – wyszeptwała.

Przytaknął. Było mu szkoda Panienki, bo widział na jej twarzy cierpienie.

- Jakubie, tu leży sierp, wytnij te krzewy – wskazała mu dłonią.

Sierp był srebrny i dobrze naostrzony. W świetle księżycy błyszczał niebezpiecznie. Praca znowu szła jednak wartko. Krzaki miały wprawdzie ciernie, ale nie były tak ostre, jak sierp. Rozprawił się z nimi szybko. Wielu rolników dużo by dało za takie narzędzie-pomyślał. Pierwszy raz w życiu podobała mu się taka robota. Gdy skończył, uprzątnął wszystko i zagrabił ziemię. Panienska wyciągnęła do niego dłoń – niechętnie oddał jej sierp.

- Wiem Jakubie, że Ci się podoba, ale ja go naprawdę potrzebuję, – skwitowała.

Dziewczyna wzięła w rękę swoje, długie, białe włosy i sierpem ścięła sporą część pukli. Podeszła do przygotowanej przez Jakuba ziemi i zaczęła je rozrzucać, tak jak rolnik, który sieje ziarna. Tam, gdzie spadały loki, natychmiast pojawiało się zboże, gotowe do ścięcia. Pełne kłosa, delikatnie szumiały, poruszane leśnym wiatrem. Nie minęła chwila, gdy pole było zapełnione.

Dziewczyna obróciła się do Jakuba, który stał jak oniemiały. Gdyby nie zobaczył tego na własne oczy, nigdy by nie uwierzył. Zwróciła się do niego:

- Teraz pora na budynki...

- Jakich byś nie miała narzędzi, Panienko, to nie wybuduję Ci w pół nocy miasta. – przerwał jej brutalnie – zbyt dużo ode mnie wymagasz. Jestem tylko kowalem, sam jeden nie dam rady. Nie mam ani sprzętu, ani dość rąk do pracy. Nie znam się na tym.

Wadera

- Wiem – uśmiechnęła się leciutko Srebrzysta dama – dlatego mam tu dla Ciebie pomocników. Nic się nie martw Jakubie, po prostu mi zaufaj.

Kiedy mężczyzna rozglądał się po polanie, by móc wygnać dziewczynie, że nie ma nikogo poza nimi, ta podeszła do leżących w pobliżu głazów. Panienska zaczęła wypowiadać słowa w obcym, nieznanym mu języku. Jej mowa dźwięczała jak lód w zimowy dzień. Ku jego zaskoczeniu kamienie ożyły i przed nim stało dziesięciu osiłeków. Wszyscy byli ubrani w białe koszule i mieli siwe brody. W torbach mieli potrzebne narzędzia, a ramionach ogrom krzepy.

- Paniczu – zwrócił się jeden z nich do Jakuba – jesteśmy do Twoich usług. Razem z całą brygadą pokłonił się nisko.

Mężczyzna zaniemówił. Po chwili usłyszał głos Panienski.

- Jakubie, wydaj im polecenia, nie mamy zbyt dużo czasu – wskazała ręką na niebo.

Mężczyzna opowiedział im, co widział w swojej wizji, a robotnicy pokiwali głowami.

- Wiemy paniczu, o czym rzecz. Bierzemy się za robotę, bo faktycznie czas nas goni.

Początkowo Jakub doglądał ich pracy, nie mógł się nadziwić, jak szybko i sprawnie im szło. Z chwili na chwilę stawiane były chatki i inne budynki.

Co zaskakujące wyglądały dokładnie tak, jak to, co widział we wspomnieniu. Gdy zaczęli budować biały zamek, Panienska podeszła do Jakuba i wręczyła mu miotłę. Chłopak już nie miał siły zadawać pytań. Widząc efekty pracy, coraz bardziej ufał Srebrzystej Damie. Zaczął energicznie zamiatać i ku jego zdziwieniu pod stertą liści i kurzu zaczynała ukazywać się kamienna droga. Mógł przysiąc, że gdy przybiegł na polanę ścieżka była mięciutka, teraz jednak widział twardo ubity trakt.

- Paniczu – zawołali robotnicy – skończyliśmy! Nie mamy jednak już materiału na dach.

Jakub nie wiedział co począć, ale zanim zdążył się odezwać, usłyszał kroki Panienski. Kierowała się w stronę zamku. Szybkimi ruchami ściągnęła ze swoich dłoni pierścionki z niebieskimi oczkami i rzuciła je, każdy z nich wylądował na górze, tworząc niebieskie dachy na białych wieżach. Po chwili Srebrzysta podeszła do robotników i zanim Jakub zmrużył oczy, przemieniła ich z powrotem w głazy. Kamienny łańcuch stworzył wokół zamku swoisty mur. Panienska ruszyła dalej, tym razem podeszła do kramów. Szybkimi ruchami rozdarła swoją suknię. Na sukiennych ładach kładła oderwane kawałki, a te w okamgnieniu

Wadera

zaczęły się zmieniać się
w najdroższe i najpiękniejsze tkaniny.

- Drobny prezent na dobry początek – mruknęła.

Srebrzysta dama jednak i tu nie zagrzała długo miejsca. Podeszła do jeziora, odpięła naszyjnik i rzuciła go wodę. Na oczach Jakuba pojawił się najpierw młyński kamień, a po chwili i sam młyn. Z włosów ściągnęła ozdoby, które przekształciły się w łódzie i rybackie siatki. Mężczyzna dopiero teraz dostrzegł bogactwo ryb w jeziora.

Miał już coś powiedzieć, ale Panienska ponownie go ubiegła:

- Jakubie, na dziś już koniec porządków, zbliża się świt. Tak, jak Ci obiecałam, wyjaśnię teraz co się wydarzyło.

Panienska przysiadła na kamieniu, widział, że jest naprawdę zmęczona. Zaczęła snuć swoją opowieść.

- Wiele lat temu było tu piękne miasto

- To z Twojej wizji? - spytał

- Dokładnie. Ludzie żyli tu zgodnie, z poszanowaniem siebie, przyjezdnych przyrody i nas. Pań Jeziora. My ich zawsze strzegłyśmy przed wszelkimi nieszczęściami, a oni przynosili nam jedzenie i respektowali nasze zwyczaje. Nie niszczyli lasu, łowili oszczędnie. Niestety wszystko, co dobre, kiedyś musi się skończyć – westchnęła – i tu nie było inaczej. Byłam wtedy jeszcze dziewczynką, gdy w mieście pojawił się demon Złowróg. Mamił mieszkańców, obiecywał im skarby, zdrowie, wieczny odpoczynek. Zasiał w ich sercach taki zamęt, że zostało tylko kilkoro sprawiedliwych. To oni zwrócili się do mojej matki o pomoc. Jednak Złowróg był dla niej za silny, co ludzie uznali za jej porażkę. Z czasem zaczęły się wojny i zarazy, ludzie karczowali las, wyłowili wszystkie ryby. Matka, by ocalić sprawiedliwych ruszyła walczyć ze Złowrogiem, kosztowało ją to jednak życie. Przepędziła demona, niestety wiedziała, że on tak łatwo nie odpuści. Ostatkiem sił rzuciła jednak ostatnie zaklęcia. Ukryła miasto, a w moich szatach pochowała co ważniejsze miejsca, ludzi w zwierzęta tak by żyli spokojnie, mnie zaś nauczyła chronić się pod postacią..

- Łani – dokończył.

- Tak. Matka przepowiedziała mi również, że siła Złowroga przeminie, a gdy tak się stanie, w naszym lesie pojawi się zbłąkany myśliwy...

Wadera

- Czyli ja? – znów przerwał Paniencie Jakub

- Tak. Jednak każde, duże zaklęcie ma swoją cenę. Na zdjęcie uroku miałam tylko jedną noc, ale na szczęście udało nam się – uśmiechnęła się Srebrzysta

- Nie udało! – wykrzyknął przerażony mężczyzna - co z mieszkańcami?

Świt pierwszymi promieniami przedzierał się, przez korony drzew oświetlając cudowne miasto, które dopiero teraz nabierało prawdziwego blasku. Już w dziennym świetle Panienska podchodziła do każdego zajęcia, który pod wpływem jej dotyku przekształcał się w mężczyznę, gdy zaś dotykała ptaszków na gałęziach pojawiały się kobiety, na samym końcu, gdy zrywała kwiaty, zaczęły pojawiać się dzieci. Rodziny połączone po tak długim czasie, nie mogły uwierzyć w swoje szczęście. Wszyscy weseli się i rozglądali za kolejno pojawiającymi się bliskimi. Ocaleni podchodzili do Panienski i jej towarzysza, by podziękować za ratunek. Srebrzysta ścisnęła ludzi i witała ich z powrotem. Z każdym zamieniła parę słów, Jakub nie mógł nic powiedzieć. Stał wzruszony. Po dłuższej chwili rozeszli się do swoich domów, ciesząc się odzyskanym życiem.

Na środku placu została tylko Panienska z Jakubem.

- Jest jeszcze jeden urok, który trzeba zdjąć – wyrzekła – zamknij oczy.

Poczuł jak Srebrzysta delikatnie całuje go w policzek.

- A teraz je otwórz.

Przed nim stała młoda kobieta. Rysy twarzy miała jak Panienska, jednak jej włosy były złotej barwy, uplecione w dwa, długie warkoczki, a oczy przybrały barwę jeziora. Ubrana była jak prawdziwa mieszcanka w długą, czerwoną szatę. Diadem zastąpiła opaska z wyszywanym, złotym lwem.

- Mnie też mama podarowała nowe życie, teraz jestem zwykłą dziewczyną. Twoją dziewczyną – dodała speszona.

Jakub patrzył i nie mógł temu dowierzać.

- Mam na imię Żywia. Wracajmy do domu Jakubie.

- Ale ja już jestem w domu – chwycił jej dłoń – Myślisz, że szukają nowego kowala?

H. Priester

Dwa cmentarze

Krępa Kaszubska to stara miejscowość położona na północy gminy Nowa Wieś Lęborska. Znajduje się tu wiele niemych świadków historii, w tym dwa zapomniane cmentarze. Aby znaleźć wytłumaczenie tej nietypowej sytuacji, musimy cofnąć się do połowy XIX wieku...

- Zobaczysz, moja droga, że folwark po von Sydowie ci się spodoba. Krampe to piękna wieś, bardzo malowniczo położona, blisko jest stamtąd do Landechow, Wollin, Gross Janewitz... Wszystkie znane i stare pomorskie rody zamieszkują tamtą okolicę. Dworek nie jest duży, ale za to murowany, pod dachówką, z wielkim parkiem i zapleczem. Uwierz mi, to była dobra decyzja. - A ja ci mówię, że z tej przeprowadzki nic dobrego nie wyjdzie. Nie dość, że zmarnowałeś pieniądze, to jeszcze wywozisz mnie na koniec świata. Co to w ogóle jest? Mogłam się nie godzić na ślub z tobą. Chciałabym wrócić teraz do rodzinnej Szwecji... Było lato 1840 roku i cała ta rozmowa toczyła się w osłoniętej dorożce, jadącej powoli z Lauenburga do majątku Krampe, który właśnie zakupił Herman von Bergell. Za nimi podążało kilka odsłoniętych wozów, wyładowanych kuframi, meblami i całą resztą dobytku. Gdy kawalkada dotarła do wsi, ciekawscy ludzie wyglądali zza płotów, z niewielkiej szkółki wysypała się gromadka dzieci, a stali bywalcy gospody głośno komentowali nową sytuację. - Hermanie, już mi się tu nie podoba. Do miasta daleko, mały dom, a w dodatku zaraz obok gospodarka. Trzeba było dalej mieszkać u rodziców. - Birgitto, ile lat mieliśmy im siedzieć na głowie? Przecież to, co teraz widzisz, jest wspólnym prezentem od twoich i moich rodziców. Nasz wkład był minimalny. Jako jedyna w domu, na pewno miałaś o wiele więcej wygód, ale pamiętaj, że to nie Skandynawia. Jesteś teraz w najpiękniejszym sercu Pomorza. Ty tego nie znasz, ale ja się na tej ziemi wychowałem. - Jak tam, Hermanie, uważasz. Mi się tu nie podoba i uważam, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Pomimo oporów, dziedziczka Bergellowa zaakceptowała nowe włości. Może nawet odrobinę je polubiła. Najlepszym dowodem na to był fakt, że niespełna rok później na świat przyszedł Reinhold. Birgitta von Bergell nie miała łatwego charakteru i Herman dobrze o tym wiedział. Wychowana jako jedynaczka w bogatej Szwecji, nie znała biedy ani pracy. On, mimo iż pochodził ze szlacheckiego rodu, wiedział, czym jest życie.

Lata mijały, a na świat przyszło jeszcze jedno dziecko – tym razem dziewczynka. Stary Bergell był dumny. Jego majątek się rozrastał: sukcesywnie remontował folwark, wybudował nową owczarnię, ufundował piękną, świerkową aleję prowadzącą do wiejskiego cmentarza, z jego polecenia wybrukowano drogę w centrum wsi nieopodal stawu... Jedyną jego bolączką stała się Birgitta. Wprawdzie wychowała dzieci jako kochająca matka, lecz nie umiała gospodarować tym, co miała. Z biegiem czasu sytuacja niewiele się zmieniła. Rodzina von

Bergell prowadziła spokojne życie aż do momentu, gdy pewnego lutowego popołudnia do majątku przyjechał goniec z Lauenburga.

- Czy zastałem pana Bergella? - Jak najbardziej, stoi we własnej osobie przed panem. - Przybywam ze smutną wiadomością. Kanclerz wypowiedział wojnę Królestwu Duńskiemu. Jako pruski dziedzic powinien pan stawić się wraz ze swoim oddziałem do walki z najeźdźcą. - Oczywiście, że tak zrobię. Proszę mnie tylko poinformować, gdzie i kiedy powinienem się zjawić. - Pojedzie pan ze mną do Berlina. Pociąg wyjeżdża z Lauenburga pojutrze, o ósmej nad ranem. Ja nocuję w sąsiednim majątku Gans. Pański sąsiad też z nami pojedzie. - Przykra wiadomość, ale cóż... Skoro ojczyzna wzywa, pojedę. - Bardzo mnie to cieszy. W takim razie jadę dalej. Życzę spokojnych tych dwóch ostatnich dni. - Dziękuję bardzo i nawzajem.

- Alarm! Opuścić pokład! - rozbrzmiewał głos, który z trudem przebijał się przez huk dział, ludzkie krzyki i nawoływania.

Był 9 maja 1864 roku i właśnie rozpoczęła się bitwa morską pod Helgolandem. Duński pocisk trafił w pruski pancernik, na którym służył starszy wiekiem oficer, Herman von Bergell. Pomimo dość wysokiego stopnia, pierwszy raz znalazł się w faktycznym niebezpieczeństwie, spotęgowanym ostrzałem floty duńskiej. Pośród ogólnej paniki zagubił się i stał na środku pokładu, nie wiedząc, co robić. Nagle wpadł na niego młody chłopak. Herman upadł tak nieszczęśliwie, że złamał nogę. W ogólnym zgiełku nikt nie zauważył krwawiącego mężczyzny. Ten, pomimo że wołał o pomoc, coraz bardziej słabł. Kość rozerwała mięsień i przebiła się przez skórę. Ból był nie do zniesienia i nie upłynęło wiele czasu, gdy Herman von Bergell, zemdlony, osunął się na deski tonącego okrętu.

- Droga Birgitt, mam nadzieję, że twój mąż nie dowie się o niczym. Nie chciałbym, abyśmy stracili tak hojnego sponsora. - Ależ Karl, Herman obecnie pływa po dalekich wodach. Poza tym wspominałeś, że twoi rodacy zaplanowali na dziś pewną bitwę... - Zgadza się, kuzynko. Jeżeli wszystko poszło zgodnie z planem, twój mąż obecnie już dawno spoczął na dnie Morza Północnego. - Och, jak mi go nie szkoda... - roześmiała się niewierna żona. - Teraz doceniam jego decyzję. Nasz folwark finansuje duńską armię. Tylko pamiętaj, Karl, co mi obiecałeś. Zaraz po zakończeniu wojny zabierasz mnie z tej zabitej deskami dziury i jedziemy do Danii. Oczywiście, przez moją rodziną Szwecję. Pomorska sielanka nie jest dla mnie. - A co z dziećmi, Reinholdem i Anną? Zostawisz je tu? - Reinhold jest już młodzieńcem i sam decyduje za siebie. Natomiast Anna... Niech sobie radzi. Ja o nią nie zabiegałam. Pretensje nich wnosi do „świętej pamięci ojca”. Ale dosyć tego.

Zapraszam cię, Karl, do miasta, na zabawę. Rozerwiemy się trochę. - Jestem pani niezmiernie wdzięczny.

Śmiejąc się, wyszli przed dworek, wsiedli do dorożki i udali się w kierunku Lauenburga.

- Dzień dobry – odezwał się ktoś głosem jakby z głębi ziemi. – Dzień dobry! Żyje pan, czy mamy dzwonić po grabarza? Myślę, że w okolicach Krampe ma pan kogoś znajomego w tym fachu.

Herman nic nie odpowiadał, tylko powoli otworzył jedno oko, a potem drugie. Wszystko niezmiernie go bolało, czuł się przyduszony i nie miał władzy w lewej nodze. - No, jak pięknie. Jeszcze niech pan się tylko uśmiechnie i może wracać na front. Swoją drogą, cudem pan się uratował. Do tego trzeba było ogromnego szczęścia. - Co? Gdzie? Jak? Nic z tego wszystkiego nie rozumiem... - I nic rozumieć pan nie musi. Najważniejsze, że pan się ocknął. Albert Holtz, lekarz polowy. - Herman von Bergell... Ale skąd pan wie, że mam majątek w Krampe? - Drogi panie, jak mieszkałem kilka kilometrów od pana, to ciężko nie kojarzyć nazwiska. Mój wujek, u którego się wychowałem, ma majątek w Oblewitz. Po studiach trafiłem do Berlina, ale pamięć mam jeszcze dobrą. Nie ukrywam, po wojnie chciałbym wrócić i zamieszkać chociaż w Lauenburgu... No, w każdym razie dosyć gadaniny. Służba nie družba.

Młody lekarz stał już w drzwiach, gdy nagle się odwrócił.

– A i niech pan się nie przestraszy, ale od kolana nie ma pan lewej nogi. Nic takiego, ale po otwartym złamaniu nie mogliśmy jej uratować. Wpadnę wieczorem, to pogadamy. Mam z panem do pomówienia. Do widzenia. - Do widzenia...

Lekarz wyszedł, a Herman opadł ciężko na łóżko. Myśli kłębiły się mu w głowie. Lekarz zrobił na nim pozytywne wrażenie, ale cała sytuacja zaczęła go przerastać. Syknął przez zęby. Gorączka znów zaczęła rosnać. Nie minęło dużo czasu, a von Bergell, pojękując cicho, znów zapadł w sen.

Tymczasem w Krampe o trudach wojny rozmawiano jedynie w karczmie. Była połowa maja i wszyscy mieli ważniejsze rzeczy na głowie. Folwark upadał coraz bardziej, hrabianka Bergellowa niewiele interesowała się sprawami majątku, a sprawę potęgował fakt, że wszystkie pieniądze, jakie zostawił von Bergell, wysłała na pomoc bratnim wojakom duńskim. - Po starym Hermanie ani widu, ani słychu... Pewnie zginął gdzieś chłopina i nawet nie ma go kto pochować. - Nie był zły. Płacił na czas, nie wykorzystywał. Bydło na jego łąkach paśliśmy. Po diabła ta wojna była potrzebna, samych porządnych ludzi zabiera. Kuzyn z Lauenburga też pojechał, to żona dostała tylko przez pocztowca wiadomość. - Ale zobaczcie, chłopcy, jaka ta jego żona obrotna. On pojechał, to już na drugi dzień jakiś obcy chłop przyjechał. Miesiąc minął, wrócił widać do siebie, to brama na folwarku się nie zamyka. Szczególnie ten młody Somnitz z Gans jej nie daje spokoju. - A ja wam mówię, że stary Bergell wróci i zrobi porządek – odezwał się młody rolnik, Ludwig

Buhrke. - Oby... Najbardziej szkoda dzieci. Reinhold jest już stary byk, ale Anna...

Rozpędzony ekspres relacji Berlin – Gdańsk, wjechał z piskiem kół na dworzec w Launenburg. Wsiadło z niego tylko kilka osób, w tym dwóch panów w średnim wieku. Jeden z nich poruszał się o kuli. - Nawet, Hermanie, nie masz pojęcia, jak ja się cieszę, że załatwiłeś mi przepustkę z frontu. Ty już jesteś bezpieczny, ale czort jeden wie, co mnie mogło czekać.

- Nie przejmuj się, Albercie. W tym mieście obaj znamy każdy kamień. Zaraz weźmiemy dorożkę i zanim pojedziesz do swoich Obliwitz, zajedziemy do mnie. Musisz mi na spokojnie jeszcze raz opowiedzieć o tej waszej Masonerii. Gdy leżałem po operacji, ten temat bardzo mnie zaintrygował. Powiem ci, że nawet zastanawiałem się nad wstąpieniem do naszej lokalnej loży.

- Siadaj więc, a przez drogę na pewno rozwieję twoje wątpliwości.

Dorożka ze stukotem wtoczyła się do wsi. Przyjezdnych przywitał tłum, który wyległ na ulicę z miejscowej gospody. - A nie mówiłem, chłopcy? Stary Bergell żyje! - Panie, zrób coś! Żniwa stoją, folwark w ruinie, a pani Bergell nic nie robi! Młody lekarz patrzył na to ze zdziwieniem. Nie mógł się połapać, o co w tym wszystkim chodzi. Włóścianin powoli wysiadł z dorożki i witając się z każdym, słuchał nowin. - Jedź z doktorem prosto do Obliwitz! - rozkazał woźnicy. - Przykro mi, Albercie, ale właśnie wali się mój świat i muszę ratować to, co jeszcze zostało. W najbliższych dniach pojawię się w majątku twojego wuja, to porozmawiamy. Jeszcze raz dziękuję za wszystko.

Nie czekając na odpowiedź, szlachcic pokuśtykał do dworku. To, co zastał, przerosło jego najśmielsze oczekiwania. Wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, zniknęło. Syn Reihold, wieczna oaza spokoju, grał na pianinie przy otwartym oknie, a córka Anna krzątała się po ogrodzie. Jego żona natomiast, zabawiała się z jakimś młodzieńcem. Nie czekając wiele, wyciągnął pistolet, z którym od pewnego czasu się nie rozstawał, wycelował i strzelił. Chybił. Muzyka ustała, Anna przestraszona uciekła za zabudowania folwarczne, a Birgitt von Bergell, wraz ze swoim dalekim kuzynem Karlem, poderwali się z łóżka. - Tylko nie to...! Ty żyjesz?! Zrozum, to nie tak, jak myślisz. Nie jest moją winą, że majątek upadł... Opanuj się, Hermanie!

W oczach kobiety widać było strach. Mężczyzna, pomimo kalectwa, nie zważał na nic. Popadł w szal. Wywracał meble, tłukł okna i naczynia, rzucał wszystkim, co wpadło mu w ręce. Dopadł szkatuły, w której trzymał oszczędności na rozbudowę majątku. Przewrócił ją, a gdy się otworzyła, wypadły z niej tylko jakieś śmieci. - Za co?! Za jakie grzechy to wszystko? Za patriotyzm, za dobroć, za... - urwał. Spojrzał na żonę. - Wszystko twoja wina. Od początku chciałaś mojej krzywdy. Nigdy się tu tobie nie podobalo.

Pewnie kuzynek obiecał ci, że zabierze cię do Skadynawii. Otóż posłuchaj: nigdy nigdzie już nie pojedziesz. Nigdy nic nikomu nie powiesz. Nigdy...

Herman wycelował w przerażoną kobietę. Na jej twarzy malował się strach i rezygnacja. Huk. Birgitt von Bergell, osunęła się bezwładnie na podłogę. Właściciel majątku usiadł na fotelu. Karl znikł bez śladu. Szlachcic nie miał siły go szukać. Anna, która całą sytuację widziała przez okno, nie czekała dłużej. Wybiegła z domu i przez pola pognąła na oślep, byle dalej od rodzinnej Krampe. Gdy Reinhold stanął w progu, ujrzał siedzącego i płaczącego ojca oraz matkę w kałuży krwi na podłodze. Ten zawsze spokojny i opamnowany człowiek, wyśmienity szachista, również nie wytrzymał. Wyszedł z domu i rzucał się na ziemię.

Pogrzeb był bardzo skromny. Birgitt von Bergell została pochowana na cmentarzu położonym kawałek za wsią, w kierunku Janowic.

Od tego momentu Herman się zmienił. Stał się bardzo niestabilny emocjonalnie, ludzie mówili, że „zaczyna mu się coś dziać z głową”. Anna von Bergell nie wróciła już do majątku ojca. Uciekła do Slavkov i wyszła za męża za Theodora von Koss. Natomiast Reinhold pozostał na gospodarstwie. Wiedział o występkach matki i pomimo wszystkiego postanowił wspomóc ojca. Dość szybko ożenił się z Marią von der Osten z Gross Jannowitz. Młode małżeństwo przejęło administrację nad majątkiem. Krampe pręźnie zaczęło podnosić się z ruiny.

Po tragicznych wydarzeniach sprzed kilku lat, Herman Bergell mocno zaprzyjaźnił się z lekarzem, który go uratował. Albert Holtz był aktywnym członkiem Lęborskiej Łoży Masonskiej i wciągnął w to Hermana. Ten odnalazł się tam, jak „ryba w wodzie”. Gdy pewnego wieczoru wracał pełen emocji po jednym ze spotkań, zobaczył postać idącą skrajem drogi. Zatrzymał dorożkę i zawołał. Kobieta nie odwróciła się, lecz uparcie dążyła na przód. Stary Bergell podbiegł do niej, chwycił za ramię, chcąc zaoferować pomoc, lecz gdy postać się odwróciła, zamarł... W trupio bladej twarzy ujrzał swoją zamordowaną żonę.

Gdy się ocknął, nie było nikogo. Tylko dorożka z koniem stała tak, jak to zapamiętał. Prędko do niej wsiadł i nie czekając na nic, pognął do domu. Widmo Brigitt von Bergell nawiedzało go coraz częściej, pomimo że od wojny duńskiej i tamtych tragicznych wydarzeń upłynęło niemal 6 lat. Herman wychodził nieraz z domu wieczorem i nie wracał przez całą noc. Wędrował wtedy przez okoliczne łąki i pola, straszył ludzi spacerujących po zmroku, zaglądał chłopom do okien, płoszył zwierzęta gospodarskie... Raz mało brakowało, a udusiłby żonę serdecznego przyjaciela swojego syna – Helenę Buhrke. Mieszkańcy Krampe i okolicznych wiosek coraz bardziej obawiali się starego szlachcica. Bardzo często jeździł do Lauenburga na zebrania członków loży. Jego życie niemal w całości przeniosło się z folwarku w Krampe, który jeszcze do niedawna był całym światem Hermana, do budynku na Logenstrasse.

Tak było do momentu, gdy w lipcu 1870 roku pod dworek zajechał posłaniec z Berlina. Przywiózł on wezwanie dla Reinholda Bergella. Miał on, podobnie jak 6 lat wcześniej ojciec, stawić się do służby wojskowej i wziąć udział w wojnie francusko – pruskiej. Gdy wyjeżdżał, opiekę nad majątkiem przekazał staremu Hermanowi i swojej żonie.

Spokój nie trwał długo. Dwa dni później, Herman siedział z synową wieczorem na ganku przed dworkiem. Rozmawiali, śmiali się, pili wino... Dochodził zmierzch, gdy mężczyzna

znów zaczął mieć zwidy. Na krześle przed sobą na zmianę widział to zmarłą żonę, to własną synową. Nagle poderwał się. Anna odskoczyła przerażona, widząc dziki szal w oczach teścia. - Za te wszystkie lata, za te wszystkie męki, za zrujnowanie gospodarki, za twoje zdrady... W końcu cię dorwałem! - Ależ co tata mówi?! Jakie zdrady?! Przecież to ja, synowa, Anna von Bergell... - Nie oszukasz mnie po raz kolejny!

Herman chwycił siekierę, która stała oparta o ścianę. Zamachnął się i Anna von Bergell padła z rozłupaną czaszką na ziemię. Stary Herman opadł na krzesło. Powoli dochodziło do niego, co zrobił. Nie myślał wiele. Wpadł do gabinetu, szybko napisał kilka słów na wyrwanej z notatnika kartce i pobiegł przez ogród. Za domem rósł wielki, stary jarząb szwedzki. Pomimo sędziwego wieku, mężczyzna wspiął się na drzewo, założył pętlę na szyję i skoczył...

Następnego ranka, gdy na folwarku pojawili się pierwsi robotnicy, zamiast znajomych, miłych twarzy, zobaczyli ciało młodej kobiety w kałuży krwi i wiszącego na sznurze starszego mężczyznę, kilkanaście metrów za nią. Ostatnią wolą Hermana von Bergella było, aby pochować go wraz z wiernym psem i koniem pod jarząbem, w parku przy dworze. Anna Bergell spoczęła natomiast na cmentarzu.

O strasznych wydarzeniach powiadomił Reinholda jego przyjaciel, Ludwig Buhrke. Od tamtej pory dziedzic oddał się niemal całkowicie sztuce. Coraz częściej wyjeżdżał do Berlina, podróżował po świecie. Jednym z ostatnich utworów, jakie napisał w rodzinnym majątku, była opera „Ingard”, dla której inspiracją była lokalna opowieść o „Czarnej Małgorzacie”. Reinhold nie czuł więzi z majątkiem Krempe, nie miał zbyt wielu przyjemnych wspomnień związanych z tym miejscem. Zaczęły docierać do niego też dziwne wieści...

Miejscowość przestała cieszyć się dobrą sławą i przez lata nie miała zaznać spokoju. Każdej nocy po wsi krążył duch Hermana, głośno zawodząc i lamentując. Robił dokładnie to samo, co za życia – straszył podróżnych, zaglądał ludziom do okien... Po jego śmierci folwark gwałtownie zaczął upadać. Okoliczne pola, które do tej pory dawały obfity plon, przestały obradzać. Ludzie mówili, że stary Bergell przed samą śmiercią rzucił na wieś klątwę. Miało to mieć konsekwencje jeszcze wiele lat później, w 1945 roku... Mówiono też, że wszystkie te nieszczęścia są z tego powodu, iż pochowano szlachcica w nieświęconej ziemi.

Po kilku latach miejscowa ludność miała dość zaistniałej sytuacji i mieszkańcy wsi wspólnie przenieśli szczątki Hermana na cmentarz wiejski. Większość niewyjaśnionych zjawisk ustała, lecz nie wszystkie. Od tego momentu ludzie coraz rzadziej chowali się na tzw. starym cmentarzu. W pewnym momencie w ogóle zaprzestano tej praktyki. W nowym „centrum wsi”, które z miejsca dawnego folwarku przeniosło się w rejon gospody, mleczarni i szkoły, założono tzw. nowy cmentarz. Jednym z ostatnich mieszkańców Krampe, który pochował się na starym cmentarzu, był zmarły w 1913 roku Ludwig Buhrke. Natomiast Reinhold von Bergell wyjechał niemal na stałe z rodzinnej posiadłości. Bolesne wspomnienia łączące się z małą, pomorską wioską, zadecydowały, że w 1904 roku sprzedał majątek Bankowi Ziemiemu w Berlinie, który rozparcelował folwark na 69 gospodarstw. Artysta za pieniądze uzyskane ze sprzedaży ojcowizny kupił willę w podberlińskim Gross Lichterfelde – jednej z najbogatszych gmin w Niemczech. Tam też zmarł i został pochowany. Po wyjeździe nigdy już nie powrócił do Krampe.

Fatum, które ciążyło nad wsią po śmierci Hermana von Bergell, co jakiś czas daje o sobie znać. Tak było na przełomie lat 1944 i 1945, gdy do wsi dotarli więźniowie obozu Sthuttow, pędzeni w tzw. Marszu Śmierci. Nowy cmentarz praktycznie nie zachował się do naszych czasów. W latach 60., gdy uprzątao mogiły więźniów, teren nekropolii został wyrównany spychaczem. Stary cmentarz natomiast powojenne zawirowania w dużej mierze ominęły.

Wprawdzie grobowiec rodziny Bergell nie przetrwał, lecz zachowało się wiele innych nagrobków, spotkać możemy, między innymi, żeliwny krzyż poświęcony Ludwigowi Buhrke. Pomimo upływu lat, w Krępie nadal są dwa cmentarze, co stanowi rzadkość w tak niewielkich miejscowościach.

A co z duchem Hermana? Wystarczy wybrać się nocą w okolice dawnego dworu w Krępie i samemu to sprawdzić.